

Tygodnik,

10 *Lutego* — 7. — 1818.

KOBIETY.

poema oryginalne.

Do PANNY.

O ty! co w jednéj osobie,
Złączyłaś wdzięki, cnoty i zalety;
Ozdobo kobiet! pozwól niech kobiety,
Poświęcę tobie.

*

Już z pociechą ludzkości zgasły ognie wojny,
Słodki pokój rozszerza wdzięczne panowanie,
Już może bez przeszkody poeta spokojny,
Wielbić przed światem cnotę, wdzięki i kochanie.

Gdy na ślepéj fortuny toczącém się kole,
Jedne państwa spadają, a drugie się wznoszą;
Na milszy sercu przedmiot zapatrzyć się wolę,
Wolę się nad człowieka unosić roskoszą.

Chcę opiéwać, tę rodu naszego połowę,
Na którą szczodrą dłonią los dary rozlewa,
Co urokiem powabów życie daje nowe,
Co pięknością zachwyca, co cnotą zdumiewa.

Nie dość, że przyrodzenie mądre, dobroczynne,
Utworzyło kobiétę, ten cud niepojęty;
Umiało ją ustroić w powaby niewinne,
Czarownemi człowieka wiążące ponęty.

Dowcip bystry i śmiały, co losami włada,
Rządy ziemi oddaje człowieka odwadze;
Milszy udział od młodu kobiéta posiada,
Ma słodsze panowanie, i pewniéjszą władzę.

Zaledwie młoda piękność na świat wyjdzie z trwogą,
Widzi przed sobą pasmo szczęścia i słodyczy,
Już na nią bez wzruszenia spoglądać nie mogą,
Każdy ją widzieć, każdy podobać się życzy.

Codzień bliższy jéj tryumf. Jak w pączku różowym,
Każdy liść rozwinięty, nowy wdzięk rozwija,
Tak w piękności, dzień każdy wdziękiem błyska nowym
I dzień każdy jéj nowych kochankôw podbija.

Malarz, co z Rafaelem równać się nie lęka,
Znajdzież, wydać jéj uśmiéch farby dość obfite?
Z uniesieniem widziemy, że ta sama ręka,
Co kwiaty ubarwiła, stworzyła kobiétę.

Jak zmięszane uczucia szczęścia i bojaźni,
W sercu młodéj piękności powstają nawzajem;
Jak najmniéjsza niepewność czułość serca draźni,
A iskierka nadziei świat czyni jéj rajem.

Tak niegdyś Safo czułą miłością wsławiona,
Któréj świat melodyjne zachwycają pienia;
Piła szczęście w uśmiéchu lubego Faona,
A jad śmierci w goryczy jego oddalenia.

Nie raz w czarnéj zgryzocie, co życie jéj skraca,
Siedząc nad brzegiem morza na kochanka czeka;
Każdy okręt płynący Faona jéj wraca,
Nadzieją goni szczęście co przed nią ucieka:

Gdy noc ziemię ponurą osłoni powłoką,
Gdy i sen i spoczynek boleści jéj koją,
Staje Faon, roskoszą błyszczy jego oko,
Biegnie ku niéj wesoło, nazywa ją swoją.

Na ten głos luby, Safo troskom się wyrywa,
Leci wziąść od kochanka czułe uściskanie,
Lecz jak krótka jéj radość, nadzieja zdradliwa,
Był to sen, znikł kochanek, zostało kochanie.

Nie raz Safo zalety Faona wysławia,
Jego miłość, i swoją pomyślność maluje,
Nie raz choć z nieprzytomnym bawi się, rozmawia,
I przez wspomnienie szczęścia, szczęśliwszą się czuje.

„Zawsze ten dzień Faonie! tkwi w mojéj pamięci,
„Gdym wzajemnością ognie uwieńczyła twoje;
„Gdy najczystszéj roskoszy uczuciem przejęci,
„Noweśmy życia pasmo zaczęli oboje.

„Swiatem byliśmy sobie. Dni lotem spływały.
„Dusze i serca nasze spajał węzeł ścisły,
A co dzień żywsze, co dzień rosnące zapały,
„Nowe czucia i nowe rodziły w nas zmysły.

„O jak godzien zazdrości! ten kto słodkie chwile,
„Na twojém pędzi łonie kochany od ciebie,
„Kto zawsze z tobą, komu uśmiéchasz się mile,
„Mógłżeby taki znaleść więcéj szczęścia w niebie.

„Skoro cię tylko luby spostrzegę Faonie!
„Jakieś nagłe wzruszenie w mą duszę się wdziéra,
„A ogień który miłość zapala w mém łonie,
„Głos mój tłumi, i wszystkie siły mi odbiéra.

„Natychmiast wzrok mój ciemna okrywa zasłona,
Już nic nie słyszę, sama sobą już nie władam,
„A bez tchnienia, bez siły, roskoszą zwalczona,
„Pomięszana i zbladła, drżę, chwieję się, padam.
(a)

Ty! coś dało kobiécie, boskie przyrodzenie!
Te anielskie skłonności czucia i kochania;
Obdarzasz ją w niewinność, na darów spełnienie,
Niewinność ją ozdabia, niewinność obrania.

Jeżeli się da uwieść młodość nieostrożna,
Jadem, co jéj zwodziciel podstępnie udziela,
Błąd to chwili, dłużéj go przeciągnąć nie można,
Znajdzie w łzach niewinności zwodziciel mściciela.

W okolicy, gdzie Wisła łączy się z Wisłoką, (b)
Skąd widać jak śniegami górny Krępak błyska,
Za czasów Wizimierza pod skałą wysoką,
Wolne toczyła wody rzeka bez nazwiska.

Na téj to skale, Nidzie pięknéj jak poranek,
Wieczystą miłość Olbrom zaprzysiągł niestały;
Zrazu jéj wzajemnością szczęśliwy kochanek,
Uczuł wkrótce ku innéj też same zapały,

(a) Te trzy ostatnie strofy są przełożone z pozostałych pism Safony.

(b) pod Winiarami, wsi Województwa Krakowskiego łączą się z sobą trzy rzeki Wisła, Wisłoka i Nida.

Jednak jeszcze z nią dawną zachował zażyłość,
   Może to była litość może zdrada skryta,
Lecz Nida (któż zmyśloną nie rozezna miłość)
   Wyznanie niewierności w oczach jego czyta.

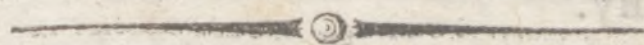
„Olbromie! - rzekła z zimnéj odmiany udaniem,
   „Poznaję, że ostygło twe serce, i moje;
„Pójdź na tę skałę, nim się na wieki rozstaniem,
   „Tam przysiężone związki zerwiemy oboje.

Zdziwiony, aż nad przepaść Olbrom za nią idzie,
   Niestały, śmiał udanéj niestałości wierzyć.
„Żyj wolny, żyj szczęśliwy, zapomnij o Nidzie,
   „Nie mogę cię niekochać, ale mogę nie żyć".

Gdy to mówi, rzuca się w rozstąpione tonie,
   Miota nią bystra fala o skałę sterczącą;
Pęd wody ją porywa i w przepaściach chłonie,
   Biją wały o brzegi, pienią się i mocą.

Odtąd życie Olbroma zatruł smutek blady,
   Do grobu mu cierpienie towarzyszem było,
A na wieczną pamiątkę ukaranéj zdrady,
   Rzeka téj wzięła imię któréj jest mogiłą.

(Dalszy ciąg w następującym numerze).



PRZYPADKI WOJENNE

Przyjaciela pokoju.

(z niemieckiego).

(Ciąg dalszy).

Podróż do Magdeburga.

Wesół, jak gdyby mię kto na sto koni wsadził, z powołaniem na Pastora i zwycięzkiemi pieśniami w kieszeni, przejechałem dnia 15 Października Brandeburską bramą. Dla pewnych przyczyn musiałem zatrzymać się w Poczdamie. Wieczorem wyszedłem do ogrodu *Sans souci*, gdzie na owém klasyczném miejscu w którém mi niegdyś szesnastoletnia Fryderyka wieczną zaprzysięgła miłość, po dziewięciu skończonych latach, też samą przysięgę z równymże zapałem powtórzyłem. Do późna w noc, pisałem do ulubionéj, ułożyłem jej całą sielankę marzeń i nadziei, malując w najpiękniéjszych kolorach, naszą domową szczęśliwość, zdala od zgiełku i tumultu świata.

„Razem żyć będziem Fryderyko! Czegóż nam więcéj potrzeba, ażeby niebo szczęścia przenieść na ziemię. Nasza chatka, nasz ogródek, będzie dla nas rajem".

W tak różowych myślach zasnąłem. We śnie równie jak i na jawie, słodka kołysała mię przyszłość.

Ze świtem ruszyłem w drogę, sam powoziłem, konik mój był żwawy ale spokojny. Przez drogę rozmyślałem, o czém mam mówić z Hrabią przybywszy do Magdeburga, ażeby mu się wydać z najpiękniejszéj strony - co powiem Fryderyce, kiedy obejmując domek przeznaczony dla Pastora, będę jéj mógł rzec: „Patrz aniele! oto twoje królestwo!- Przygotowywałem się na mowę przy wchodzie do kościoła przed całym zebranym ludem i przed dziedzicami mojéj parafji, którzy odtąd we mnie swego pasterza uważać będą. Mowa moja była bardzo czuła; żadne oko nie było bez łez, pod niebiosa mię wychwalano. Rozrzewniona Fryderyka, rzuciła mi się po kazaniu do szyi, i w nagrodę uściskała mię serdecznie.

W Brandeburgu był wielki tłok w gospodzie przed którą stanąłem. Mówiono, że wielkie stoczono bitwy, że wojska Pruskie godnie pomściły się zgonu bohatyrskiego Księcia Ludwika Ferdynanda przy Zalfeld, że w lasach Turyńskich, trupy pobitych Francuzów, bieg wód tamują.

Nie mogłem się już wstrzymać. - Sięgnąłem do kieszeni po zwycięzkie pieśni, w tym jakiś staruszek siedzący za mną, upuścił jakby na umyślnie fajkę, schylił się do ziemi, i szepnął mi tęgim basem do ucha: „Dałby Bóg, żeby to była parwda, ale ja wiem lepiéj, bajki nam pletą; musiało się zapewne wielkie jakieś nieszczęście wydarzyć".

Na te słowa zdrętwiała mi ręka w kieszeni. Nie śmiałem ruszyć moich Tyrteuszowskich pieśni.

Wielkie nieszczęście! a ja w Magdeburgu! Może mię nieprzyjaciel przeciąć od Fryderyki. Przeszedł mię pot zimny.

Ale oprócz tego starca wróżącego nieszczęście, wszyscy inni w gospodzie, cieszyli się tak głośno, tak przekonywająco, każdy opisywał bitwy i zwycięztwa naszych z takiemi szczegółami, że albo sam był naocznym świadkiem, albo przynajmniéj od naocznego świadka słyszéć je musiał. Ja, jak się zwykle dzieje, uwierzyłem większości głosów i poszedłem spać spokojnie.

Smutne przeczucia.

Nazajutrz spotkałem się na gościńcu z kilkoma kurjerami. Zdawało się jakoby z Magdeburga lub z armji śpieszyli do Berlina. Uroczyste milczenie tych gońców, bardzo mi się podejrzanem zdawało, bo radość zwyczajnie, choć nieproszona, udzielać się zwykła.

W wioseczce między Cyzar a Burg, zebrał się wielki tłok ludzi. Najeżdżałem, ale mi się ustąpić nie chciano. Teraz dopiéro spostrzegłem przed wielkim domem, kilkanaście osiodłanych koni, a w oknach pełno pruskich huzarów. Zatrzymałem powóz.

„Cóż tam słychać nowego,- zapytałem się otaczających mię ludzi. - „A mój Boże,- zawołała stara wieśniaczka- wszystko zginęło. Francuzi już w drodze, kto wie, może tu będą za godzinę”.

Naturalnie, nie dałem wiary téj wiadomości; jednakże chciałem się pewniéj dowiedzieć, co się stało, i dla tego podjechałem pod dom, wyskoczyłem z powozu, i wszedłem do gospody. We wszystkich izbach pełno było huzarów, wieśniaków i Oficjalistów; palili lulki, pili, opowiadali, hałasowali, klęli- wszystko kwaśne twarze. Rosprawiano o jakimś Panu Wachmistrzu, który dla ciężkich ran, nie mogąc jechać na koniu, wiezionym być musi; miano posłać po pocztę dla niego.

Drżałem z przestrachu; usiadłem w kąciku przy stole, i kazałem sobie dać piwa, choć było bardzo nędzne, dla tego abym miał sposobność przysłuchania się ciągowi rozmowy, i kierowania się podług tego co usłyszę. W kilka minut znikły huzary z izby. — Słychać było, że na koń siadają.- Skoczyłem do okna i prawdziwie ujrzałem ich w cwał lecących, a w środku leciał - i mój Berliński pojazd.

Próżno wołałem: „stójcie, stójcie, to mój pojazd.” W minutę znikli mi z oczu. Z ciężkością przedarłem się przez tłok, i wyszedłem na dwór, ale miéjsce zastałem już próżne, mego konia nie było.

„Uspokój się Pan- rzekł do mnie jakiś niski, wywiędły człowiek, który wyglądał na Oficjalistę, Pan Wachmistrz dziś jeszcze Panu powóz odeśle; zatrzyma go tylko do pierwszej stacji. Biédny człowiek już z ran umierał”.

„Ale powiedzże mi WPan, kto to jest ten Pan Wachmistrz?" - Nikt go nie znał. - „Dokądże pojechał moim powozem". - Nikt o tém nie wiedział.

Poleciałem na wieś, i udałem się w stronę w którą zdawało się, iż zmierzały huzary. Zaraz za wsią rozdzielał się gościniec na trzy czy cztery rostajne drogi. Nigdzie nie widać było nowego śladu po zbiegach nigdzie nie napotkałem ludzi, którzyby mie oświecić mogli, bo wszyscy zebrali się byli przed gospodą, dokąd smutny wróciłem. Nikogo nie obeszło moje nieszczęście, każdy bał się o siebie, każdy bał się Francuzów.

„Zapisz WPan w protokuł, wyrządzoną mi niesprawiedliwość - rzekłem do Oficjalisty miejscowego. Cała wieś jest jéj świadkiem. Zapisz WPan, że na koszcie Pana Wachmistrza tu zostanę, i żyć będę póki mi powozu nie odeśle, i że jeszcze zostawuję sobie wolność dochodzenia drogą prawa dalszego wynagrodzenia".

Pisarz pisał, - kazałem sobie zrobić kopją protokułu, i włożyłem ją do pieśni zwycięskich. Noc przeszła, drugi dzień przeszedł; niecierpliwość moja doszła najwyższego stopnia, a powozu jak niema tak niema.

W tym nadszedł dziewiętnasty Października. O nieba! Hrabia czeka mię w Magdeburgu! Żądałem na koszta Pana Wachmistrza podwody, albo przynajmniéj konia, dla dostania się na miejsce przeznaczenia.

Ale Pan Wachmistrz tak mało miał kredytu, że mi na jego konto niczego dać nie chciano; nie chciano mię nawet puścić z gospody, jeżeli nie zapłacę za nocleg i jedzenie.

Szczęściem miałem całą gotowiznę na sobie. — Mogłem się wprawdzie wykupić, ale czymże się wypłacę memu Berlińskiemu przyjacielowi za konia i powóz; za co kupię sobie nowe suknie i nową bieliznę, aby powrócić z Fryderyką do probostwa. Całą garderobę zabrał mi Pan Wachmistrz razem z powozem! Prawdziwie wielka próba Chrześcjańskiéj cnoty!

Uciąwszy sobie kij gruby i sękaty, puściłem się w dalszą drogę do Magdeburga. Pomoże ci tam Hrabia, pomyślałem sobie, i ruszyłem już cokolwiek spokojniéjszy.

(Dalszy ciąg w następującym númerze).

Świca i Słońce.

bajka.

Raz przez noc całą chwaliła się świca,
Ze ona sama cały świat oświca,
W tym się słoneczna jasność pokazała,
I świca świcić przestała.
Więc jéj noc rzekła ulatując z ziemi:
„Jakżeś ty światła pomiędzy ciemnemi".

Antoni Gorecki.

OSTANIA REDUTA.

„Będziesz dziś na Reducie?" jest to pytanie, które w ostatni Wtorek zastępuje miejsce wszystkich zagadnień i powitań zwyczajowych. Tak jest będę, będę Mości Dobrodzieju, ale nie z ciekawości. Wiem, że już tam nic takiego niezobaczę, jak dawnemi czasy, kiedy za ś. p. Stanisława Augusta, świetność Możniejszych walczyła ze świetnością Dworu utrzymywanego przez Króla, który wiecznemi pamiątkami dobrego gustu swojego ozdobił naszą Stolicę. W ten czas to były Reduty. Widzieć to było mięszkańców całego świata zgromadzonych na jednéj Sali; owe ubiory nie tylko krojem, ale i przepychem prawdziwie Azjatyckie; owe stoły, zasypane złotem, na których nie raz los jednéj karty władał summami, któreby wystarczyły na zakupienie wszystkich dzisiejszéj Reduty Strojów i Masek.

Nie marszcie czoła szanowni Administratorowie. Daleki jestem od chwalenia podobnych zbytków. Wiem ile kraj na nich cierpiał, wspomniałem ową świetną przeszłość, bo mi jest zawsze przytomną, bo się chciałem usprawiedliwić z tego co mi się niechcący wyśliznęło na początku, iż nie z ciekawości idę na Redutę.

Odwołuję com wyrzekł niebacznie. Przebaczcie piękne Damy, przypiszcie to gdyralstwu starego, który za starém przepada, a nowego cenić nie umie; przebaczcie, to się poprawię.

Wszedłszy na Sale Redutowe, już je pełne zastałem. Pisk masek i basowy ton mężczyzn, którzy nad zgadnieniem zaczepiającéj łamią sobie głowy, śmieszną tworzył dysharmonją. Jakich sztuk, jakich fortelów używają zaintrygowani, aby zniewolić do uchylenia nienawistnéj maski. Ledwie który Jenerał przy obronnéj fortecy, więcéj się musi spracować. Prawda, że od téj walki, tamta jest mniéj niebezpieczną; jednakże nie bez wszelkich niebezpieczeństw. Nie jeden za zbytnią śmiałość, wyjawieniem głośniejszém ukradkowéj tajemnicy ukarany, idzie na parter ukryć zawstydzenie swoje. Szczęśliwy dla którego łaskawsza Bogini, przyjmuje hołd wdzięczności w búfecie wypłacić się mający. W takim ścisku, wszystko się widzi, ale nic nie rozpoznaje; odszedłem więc na bok, usiadłem w kąciku, i po kolei szczegółowo uważałem przesuwające się pary.

Dwie Amazonki w czarnych axamitnych szpencerach i dyłdykowych spódniczkach, kazały się rozróżniać od innych. Nad złotemi kaszkiecikami, osadzone w perły, bujały białe pióra strusie.

Wsparte na krzyżykach obwiniętych w czarne i czerwone wstążki szły za niemi dwie pielgrzymki w żałobnym ubiorze. „Wędrujemy do ziemi świętéj — rzekły do mnie„ Ach! Panie, po co się narażać — odpowiedziałem — wskazując na drogie kamienie, któremi były obsypane — Turczyn na takie rzeczy jest niezmiernie chciwy”. Roześmiały się,

i słusznie; to było szkło, com ja wziął za djamenty.

Ale oto widok piękniéjszy; zbliżcie się miłe postaci! Posuwają się, jak nadprzyrodzone zjawiska. Gustowne draperje, okrywają je aż do ziemi. Nie, nie mylę się. Po chodzie poważnym, po białéj szacie, po zasłonie, która z głowy po ramionach aż do dołu się roztacza, po dziewiczym wieńcu na głowie, poznaję Westalki! Ale, co widzę! dwóch mężczyzn je prowadzi! dwóch mężczyzn! dwóch Turków!... O Rzymie! już ciebie niéma!

A to co? To Peruwjanki. Czyż ich nie poznajesz po koronie z piór czerwonych chociaż kapłonich. Z resztą całe czarne, w czarnych maskach, czarnych salopkach.

Wyśmienicie idzie za niemi ten młody *Troubadour*. Nie jest on taki, jakiemi byli dawniejsi; przynajmniéj jakim w ciężkich czasach być można. Do czarnego kapelusza przypiął pióra czarne. Lekki czerwony kaftanik, a spodnie sukicnne wybrane bardzo przezornie na wszelki przypadek, i na klima tutejsze i na klima południowéj Francji.

Czemuż się odwracasz odemnie, ty któréj chód lekki, kibić wysmukła, Nimfy zgasiła. Ginie w tłumie; nie, nie zginiesz ty dla mnie. Porywam się z mego kącika, zabiegam uciekającéj. Zapomniałem gdzie jestem. Tysiąc wdzięków ujrzeć się spodziewam. Spoglądam... na czarną maskę. Zawstydzone oko spuszczaiąc się ku ziemi, napotyka pierś naj-

piękniéjrzą, nóżkę malutką... i już się nie wzniosło. Jéj ubior.... nie, niewiem jak była ubrana.

Wracam na moje miejsce. Już było zajęte przez dwie maski w tunikach lekkim futrem obszytych i zawojach białych z zielonem, przeplatanych perłami.

Otworzyły się drzwi. Wchodzą dwie pary w jednakowym ubiorze. Na głowie mają bladoniebieskie czapki polskiego kroju, sukienki czerwone, sobolowemi, wykładkami ozdobione. Zwróciły na siebie wszystkie oczy, bo ta jednostayność ich ubioru wśród saméj tylko rozmaitości, przybraną nowości cechą, koniecznie pociąga do siebie. Może i dla tego się podobały, że ich strój miał coś narodowego, a chociażeśmy się wyrzekli szanownéj narodowości, przecież ją w drugich kochamy.

Ale jakież to znowu Boginie? Jedna firankami, druga pawilonem cała osłoniona. Któryż starożytnik rozwiąże mi tę zagadkę. Są to bożki familijne *Lares*, opiekujące się wewnętrznym domem. Poznałem ich potém, że teraz moda aby Panowie opiekunowie, przedmiotami swojéj opieki sami się okrywali.

Jeszcze te dwa koszyki z kwiatami, okrywające głowę téj podwójnéj Flory, rozróżniają się od innych.

Reszta prawie jednakowa. Albo tuniki z chustek dywdykowych, i niby dywdykowych sklejone, albo zwyczajne sukienki, błyszczadłami jakiemi upstrzone, lub tysiącem wstążek u dołu garnirowane.

Na

Na wszystkich prawie głowach, były kapelusże łyczkowe, czarne i białe, na dwa, trzy, cztery, pięć, i t. d. rogów spinane, z piórami wszelkiego koloru.

Rzadsze były Turbany z szalów. Do ogólniéjszych strojów dzisiéjszéy Reduty, należą koszyki czerwone lub białe, na kształt wysokich Dijademów, lub żeby prościéj powiedzieć, nakształt czółek, hożych naszych krakowianek.

Lecz i w téj jednakowości, któż niespostrzegł owego osobliwego gienjuszu kobiet do szczegółów. Wszystko było prawie jedno, lecz wszystko odmienne... O Modo! dla czegoż nad płcią piekną panowanie twoje rozpościerasz? Płeć piękna lepiéj od ciebie dogadzać sobie potrafi. Czy tego dziś niewidziałem? Tu mała nóżka, więc sukienka krótsza; tu talja szczupła, stanik jeszcze szczupléjszy; tu rączka ładna, rękawiczki maleńkie. Tu duże, śliczne oko, żeby nie traciło, wykrojone są w masce większe otwory na oczy. Tu włosy długie, niech się z niechcenia wiją po ramionach. Cóż mówić o innych sposobach, których my niepoświęceni, dojść niemożemy. Szczęśliwi, że nam niemi zachwycać się wolno.

Z resztą na dzisiejszą Redutę, nic nie było oszczędzone. Łóżka, okna, kanapy, zniosły na nią swoje hołdy. Zdziwiły się odwieczne klamry, guzy, pasy, naddziadów naszych, gdy im z prochu wstawać kazano. Gienjusz wynalazczy, niczém nie gardzi dla wszystkiego znalazł miejsce.

Poświęcony patrzeniu, długo wytrzymywałem ścisk w dwóch salach piérwszych, wreszcie znużony wyszedłem do trzeciego pokoju dla ochłody. Siadłem przy Búfecie. W tym żyd się jakiś do mnie przysuwa, i z nieodmalowaną bezwstydnością szynkę sobie podać każe. Spojrzałem na niego wielkiemi oczyma, i jeszczem nie wyszedł z mego zadziwienia, gdym ujrzał dwóch Turków częstujących się winem. Przejęty zgrozą uciekłem do domu.

Zastanawiając się nad dniem dzisiejszym, przyszło mi na myśl, że Moralista jaki, mógłby powiedzieć, że tak się dzieje na świecie jak na Reducie. Pod każdą z tych twarzy ukrywa się druga, zupełnie zwiérzchniéj niepodobna, ale z tą różnicą, bo *omne simile claudicat*, iż tu składają kiedyś maskę, a tam nigdy. Użalałby się bez końca, że Dyssymulacja czyli inaczéj Polityka, nie tylko w Gabinetach jest już cnotą; że nie tylko różem zmarszczki, poduszeczką łytkę, peruką łysinę; ale co gorsza, dumę pozorem powagi, wzgardę ojczystego języka, dobrym tonem, złość i zazdrość pozorem krytyki maskują. Gniewałby się i na to, iż zdaje się, że tegoczesny wynalazków Gienjusz, na to się tylko wysila, aby sposoby maskowania się, ile możności ułatwić. Może to wszystko prawda. Ale na co się tu skarżyć, nie jest to wada wieku. Nigdy ludzie niechcieli się pokazać tym, czym byli. Czytałem w którymciś Autorze, że Cezar był łysy, i aby zasłonić tę wadę,

laurami okrył głowę, ale, co te laury kosztowały! We krwi się kąpał świat cały, nim on okrył swoją łysinę. Łaskawy Czytelniku! racz osądzić z tego przykładu, które sposoby maskowania się są lepsze, dawne czy teraźniejsze.

Bywalski.

ODA do KANOWY.

pisana w Rzymie 1816.

przez Antoniego Goreckiego.

Kanowo! znasz ty Lechów plemię śmiałe?
Jestem Bard ich młody,
Z nad Wisły wody
Scigam twą chwałę.

O ty co twórczej dotknięciem ręki,
Dajesz głazom niebian wdzięki;
Uderz stalą w śpiące bryły,
Niech wie przyszłe pokolenie,
Jak na Tytusa skinienie,
Powstała Polska z mogiły.

Od Dniepru do Odry ścieków,
Królom swym wierne od wieków,
A z sąsiadami spokojne,
Zyły Lechy bogobojne.

A w tém ze wschodu, południa, północy,
Uderza piorun przemocy.
Zatrzęsła globem Bellona zajadła,
Ziemia się wolnych rozpadła.
Ojcowie w kolebki nasze,
Kładąc skrwawione pałasze,
Rzekli do nas gdy konali:
„Szukajcie słupów na Sali."
Jak rzeki spokojnéj łoże,
Wstrzymane w biegu,
Mruczy u brzegu;
Lecz gdy pęd wzmoże
Uderza silnemi wody,
Pękają tamy, powodź straszliwa,
Niwy rozrywa,
Drżą grody;
Tak kiedy w dorodne męże,
Sarmatów dzieci urosły;
Porwały przodków oręże,
I więzicielom śmierć niosły.
Jedni z nich w téj strasznéj chwili,
Łamali szyki olbrzymie,
A drudzy z gruzów wznosili,
Ojczyzny imię.
Już była Polska powieki otwarła,
A w tém na Lipska równinie,
Poniatowski mężny ginie,
I znów umarła.

Jak lwy twoje mdleją z bolu,
Tak w Marsa polu,
Młodź nasza śmiała,
Z żalu omdlała.
„Zginęli wiecznie- krzyknął zawzięty,
„Zginęli Polscy młodzianie".
Jak twój Klemens święty,
Podnieśli oczy do nieba-błękitów,
I niezawiodłeś ich Panie,
Z gwiazdzistych szczytów.
Anioł co strzeże mężnéj Rossji plemię,
Zstąpił na ziemię;
Na Piotra wielkiego tronie,
Usiada w niebian koronie.
Jak nocne gwiazdy przed słońca promieniem,
Tak zgaśli przed jego chwałą,
Ci co niedawno zdziwieniem,
Napełniali ziemię całą.
On mieczem dotyka ludy,
O cudy!
Krew się lać przestaje,
Polska powtaje!
Słyszysz Kanowo!
Jako to mową,
Idzie głos do niebian progu,
„Wdzięczność Alexandrowi,
„Polski Królowi,
„I Bogu."

Nieprzyjaciele zadrżycie!
A ty Kanowo bij dłotem,
Nim białe Orły piorunowym lotem,
Usiędą na Tatrów szczycie;
Wyryj w marmurach dla przyszłego rodu,
Wdzięczność Polskiego narodu.
Wpuszczą to dzieło do wieczności bramy,
Twórz je, o cenę niebędziem się godzić,
Wiesz że Polacy, i że Króla mamy,
On ciebie może nagrodzić.

WESELE

Bufona Imperatorowéj Anny.

Rzecz wyjęta z opisania Petersburga przez P. *Swinina*.

W roku 1740. Imperatorowa Anna Iwanówna dawała w czasie zapust, bal jedyny w swoim rodzaju, i taki jaki Monarcha Rossyjski tylko dać może. Była to maskarada historyczna czyli właściwiéj mówiąc jeograficzna. Na kilka tygodni przed karnawałem dała rozkaz, aby każdy Gubernator przysłał do Petersburga męszczyznę i kobietę z narodu zamieszkałego w jego Gubernji, tak iż podczas owych zapust, można było widzieć w Stolicy Rossji przeszło

sto rozmaitych narodów pod jéj panowaniem zostających, przejeżdżających się w paradzie po ulicach. Mięszkaniec Kamczatki w sankach psami ciągnionych, Lapończyk na Renie, Buchar na wielbłądzie, Kałmuk na krowie: Czerkas i Kozak na tęgich koniach, Indjanin na słoniu, Ostjak na łyżwach; czarny mięszkaniec wysp Kurylskich, przechadzał się obok rudego Finlandczyka, wysoki Ukraińczyk, z pigmejem Czeremissem, brzydki Baszkier z pięknym mięszkańcem Jarosławia. Narody te były podzielone na cztery klassy, oznaczające cztery pory roku. Samoidy, Kamczadale, i Lapończycy wystawiali zimę, Ukraińczycy lato, i tym podobnie. Ci wszyscy składali dwór Bufona Imperatorowéj, którego zaślubiny obchodzić miano. Na ten obchód zbudowano wielką salę, w któréj każda para bawiła się tańcem, śpiewaniem lub muzyką sobie właściwą. To pomięszanie różnych głosów i skoków odmiennych zadziwiało swoją szczególnością. Po tańcach każda pora jadła swoim sposobem krajowe potrawy. Po stole udali się państwo młodzi tymże samym orszakiem do pałacu z lodu, który z rozkazu Imperatorowéj dla nich był wystawiony. Ten pałac miał 52 stóp długości, a 20 szerokości; wszelkie ozdoby wewnętrzne i zewnętrzne, stoliki, stołki, łóżka, lichtarze, talerze, posągi, a nawet i sześć armat sześciofuntowych i dwa moździerze, były sztucznie wyrobione z lodu. Mło-

da para przywitaną była przez wystrzał armatny. Armata z któréj strzelano z podziwieniem wszystkich nie rospękła się choć funtem prochu nabita; kula armatna przebiła w odległości 60 kroków deskę grubą na dwa cale.

Na dachu tego osobliwego pałacu dana była galerja a nadedrzwiami piękny frontispis z lodu; drzwi, okna i kolumny, tak były malowane, że się wydawało że są z zielonego marmuru, na prawéj stronie stał Słoń z lodu, na którym siedział Pers z młotem. Słoń ten w dzień wyrzucał wodę za pomocą rury prowadzonéj od pobliskiego kanału Admiralicji, a w nocy kolumnę ognia na 24 stóp wysokości. Przy wchodzie do téj budowli, którą prawdziwie czarodziejską nazwać można, stały dwa Delfiny także ogień wyrzucające, Dom ten oświecony zdawał się być prawdziwym kryształowym pałacem. Trwał on przez całą zimę, aż do końca Marca.

Słowo Szarady w przeszłym Numerze umieszczonéy jest Matematyka, a Zagadki, Teka.

W nadziei zrobienia przyjemności czytelnikom przez wcześniejsze udzielenie opisu ostatniéj Reduty, daję dziś, Numer dopiéro w Sobotę przypadający. —

*